

MEMORIAŁ  
*General Marii Wittek*



AK  
Wilno

KOMOROWSKA-MAJEWSKA  
Lolcia

ps "Eliza"  
"

3782/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 3782/WSK

KOMOROWSKA - MAJEWSKA

Zofia ps. „Elize”

**I. Materiały dokumentacyjne**

I/1 — relacja właściwa ✓

I/2 — dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 — inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

**II. Materiały uzupełniające relację ✓**

**III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):**

III/1 — dot. rodziny relatora —

III/2 — dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — dot. ogólnie okresu okupacji (1939–1945) —

III/4 — dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — Inne... —

**IV. Korespondencja —**

.....  
.....  
.....  
.....

**V. Wypisy ze źródeł (tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”) ✓**

**VI. Estymacja —**

I/1. Relacja:

- Relacja Zofii Komorowskiej - Majerskiej - wspomnienie ...  
Msp. Kserokopia, k. 4, s. 1-7









Było już El Alamein i walki o Stalingrad podnosiły ducha. Zajęta całymi dniami nasłuchem, nie miałam w nikim prawie kontaktu, ale czułam, że wszyscy żyjemy nadzieją na załamanie się Niemców i szczęśliwy koniec tej okropnej wojny i okupacji. Słuchając tak dużo, udawało mi się wysłuchać na gorąco różne przemówienia itd.

Z nadejściem lata i okresu urlopowego, a wniesieniem się Legalizacji na Ogińskiego, przeniesiono mnie do domu na Bonifraterską i róg Ludwigsarskiej, najpierw do mieszkania mego kuzyna Romera, który wyjechał z Wilna na lotnisko, \*jak i właściciel mieszkania, wuj mój, prof. Michał Romer. Gdy wuj wyjechał do swej resztówki w powiecie Rekiskim, wniósł mnie do mieszkania dr. Dobrzański, uważając, że tam będzie najbezpieczniej. Wuj mój, choć dawny legionista, przeszedł wtedy całkowicie na stronę litewską. Po zerwaniu z marsz. Piłsudskim, po zajęciu Wilna przez gen. Żeligowskiego, został przewodniczącym Najwyższego Trybunału w Kownie, potem Rektorem Uniw. Kowieńskiego, by na koniec zostać profesorem Litewskiego Uniwersytetu w Wilnie, co było dla całej rodziny niezmiernie bolesne. W jego jednak mieszkaniu odbywały się różne zebrania i ja prowadziłam najbezpieczniej swój nasłuch. Wiedziałam i widziałam, że się różne osoby zbierają, ale nie pytałam o nic, oczywiście. Z uwagi na wujka mego było mi bardzo przykro nadużywać jego nieświadomej gościnności. ~~Wtedy~~ Gdy ~~dużo~~ później powiedziałam mu o tym, usłyszałam z mej radości odpowiedź, że on by też na moim miejscu to samo zrobił. Tymczasem dla bezpieczeństwa lokalu, kuzyn mój Red Romer, prosił bym się tak zachowywać, by nikt wogóle nie spostrzegł się, że w tym mieszkaniu ktoś jest. W rezultacie więc byłam zupełnie zamknięta, wychodziłam tylko na Mszę w niedzielę i czasem do sklepiku, po jedzenie. W gruncie rzeczy żyłam tylko kartofilanką prawie i trochę głodowałam. W tym czasie pamiętam kapitulację Włoch, ogłoszoną przez marsz. Badoglio. Zrobiło to na mnie kolosalne wrażenie i dziś ta chwila stoi mi w oczach.

Na Bonifraterskiej dostałam po pewnym czasie maszynę do pisania. Skróciło się więc na koniec streszczanie nasłuchu ręcznie w paru egzemplarzach. Teraz mogłam odbijać ich więcej i czytelniej. Dr. Dobrzański wpadał czasem do mnie, czasem przychodził przyjaciel nasz pan Zygmunt Ugiński, człowiek zupełnie pewny i nasz, no i mój-kuzyn Red Romer, który, jak się potem dowiedziałam, był kierownikiem sekcji skrytek.

Gdy jednak lato miśło się ku końcowi i mieszkańcy mieszkania mieli do domu powrócić, zabrał mnie dr. Dobrzański do willi na Wiosemnej (numeru nie pamiętam, a szkoda, bo tam pozostało archiwum B.I.P-u). Mieszkała tam p. Maria Sadowska, młoda, przemiła rzeźbiarka. Osoba o ukończonych Akademii Sztuk Pięknych, bardzo inteligentna, gorąca patriotka i niebywale szlachetny człowiek. W domu tym pracował dr. Dobrzański nad redakcją "Niepodległości", a p. Sadowska (Wiesława) mu pomagała, zanim nie zaczęła sama redagować pisma dla wsi, bodajże pod nazwą "Polska Wieś" czy "Nasza Wieś" - nie pamiętam, a przecie tak dobrze to wiedziałam. Żyłyśmy się z p. Marysią jak siostry i szczerze pokochały. Dzieliło nas tylko jedno, a mianowicie narzeczony jej, pracownik B.I.P-u "Zenon" Druskont, był mi antypatyczny, co ją bolało. On też mnie w sercu nieznosił i nie zawsze był grzeczny. Lokal nasz zajmował całą niedużą willę, oddzieloną tarasem i schodzącymi na ulicę schodami, od wszelkiego ruchu ulicznego. Prócz dr. Dobrzańskiego przychodził tam codziennie, gdy był w nieście, komendant. Pracował tu stale dr. Dobrzański i pani Marysia Sadowska (Wiesława), łączniczką ich, odnoszącą zredagowane przez nich numery "Niepodległości", a następnie "Naszej Wsi" do drukarni tajnych, była mieszkająca koło naszego domu Hania Marburg. Niestety, została ona pewnego dnia (daty nie pamiętam) złapana przez gestapo i strasznie męczona. W czasie takiego śledstwa, bojąc się sypać kogokolwiek, wyskoczyła przez okno z guchem sądu koło placu Łukiskiego. Padając z III piętra, złamała sobie biodro i została przewieziona do szpitala św. Jakuba, gdzie głównym chirurgiem był dr. Marburg, jej stryj. Wiem, że w czasie leżenia w szpitalu tym po operacji, zrobionej przez dr. Marburga, który naturalnie starał się ją ratować, gestapo badało ją dalej, szarpiąc za operowaną nogę. Tymczasem zaś, gdy Hani zabrakło, stanęła natychmiast za nią do pracy jej matka, pani Marburzyna. Ale i ona po pewnym czasie wpadła, a tego samego dnia zgłosiła się jej na miejsce



druga córka, która - jak i jej ojciec, pan Harburg, była przeciwna pracy Hani a potem matki, bo się o nie bała. Ta nie wpadła, ani z gazetkami, ani z moimi biuletynami, bo i te nosiła. Chciałabym by wszyscy wiedzieli, jaka to była wspaniała grupa kobiet - patriotek. Hania po szpitalu trafiła via więzienie chyba, nie jestem pewna, do obozu w Prowieniszkach. Po wojnie zaś, gdy cała jej rodzina zamieszkała w Lublinie, Hania, wobec ciężkiej gruźlicy, której się w Prowieniszkach nabawiła, wyjechała do Zakopanego i tam zmarła. Cześć Jej pamięci!

Dom na Wiosennej nie był bardzo wygodny, ale bezpieczny stosunkowo, bo odległy od sąsiadów i ulicy. Było tam jednak bardzo zimno i nachodziła nas stale wariątka, dawniejsza lokatorka tego domu, prosta dziewczyna, która za wszelką cenę chciała się do tego domu znowu wnieść.

Ciągle nas podglądała; krzyczała przed domem różne bardzo niewłaściwe na tamte czasy rzeczy np., że słyży maszynę do pisania itd. Znała też jedną, najmniejszą szczęściem skrytkę, z której już potem nie można było korzystać. P. Marysia Sadowska nie mogła oczywiście jej do naszego domu wpuścić, by nie narazić komendanta, czy dr. Dobrzańskiego, no i nas obu! Pamiętam jak dziś, jak chcąc nas wzruszyć i zmusić do wpuszczenia jej, rozebrała się przed moim oknem w dzień Wilii, obwiesiła swoimi rzeczami ohoinkę przed oknem i mimo drobnego, padającego śniegu, stała naga i zmarznięta przez jakiś dobry czas. Żal mi jej było strasznie, ale przecież nie można jej było wpuścić. Trwało to długo i komendant zaproponował mi podanie jej pigułki. Z przerażeniem odmówiłam. Tego nie byłam w stanie zrobić. Potem miała być zlikwidowana na cmentarzu rosyjskim, ale tam nie poszła. Z czasem się to ledwo nie skończyło tragicznie. Zimą 1944 r. po Bożym Narodzeniu, Zosia pobiła się z p. Sadowską - która ją siłą wyrzuciła z domu - i pobiegła wydać ją i mnie władzom sowieckim. Na prądce zlikwidowaliśmy z dr. Dobrzańskim, co było na wierzchu. Wpakowaliśmy wszystko do skrytki, która była sprytnie zrobiona za pierwszą skrytkę. Pani Sadowska pierwsza gdzieś poszła, a z dr. Dobrzańskim nadmuchałiśmy na podłogę pierwszej skrytki kurz ze strychu i zostawiając drzwi od niej otwarte, wyszliśmy z domu. Doktor wioził w wózku dziecięcym różne potrzebne papiery itd., a ja niosłam coś jeszcze. Nagle spostrzegliśmy się, że szuflada z papierami komendanta nie została oczyszczona. Wróciłam więc zaraz, zabrałam tych trochę papierów i jakieś ze dwie pieczątki (może więcej, nie pamiętam) i z torebką wypchaną ruszam na ulicę. Zejście po oblodzonych schodach było tak śliskie, że poleciałam prosto na wchodzącego enkawudzistę i najgłupiej w świecie zawołałam "Sława Bogu!" "Zdumiony sowiet spytał: "Cztoż, wy nas nie boicie?", a ja mu powiedziałam, że bałam się upaść. W tej chwili kazano mi pokazać dokumenty i otworzyć torebkę, ładnie bym wtedy wyglądała! Ale pierwszy sowiet spytał, gdzie mieszkam i kazał iść do domu, nim otworzyłam torebkę. Zaiste szybko poszłam!

Ale wracam do czasów niemieckich. Załamanie się frontu niemieckiego pod Stalingradem przeżyliśmy wszyscy głęboko, ale też bardzo zabolą nas sprawa Katynia, zerwanie z Rządem Naszym itd. Różowe nadzieje na szczęśliwe zakończenie dla nas wojny zaczęły blednąć. Łapałam wszystko co się dało o Armii Andersa, o generale Maczku itd. Ale największym, szalonym momentem było lądowanie aliantów w Normandii. Nie pamiętam dlaczego byłam wtedy zakwaterowana na Kolonii Magistrackiej w Wilnie, w zupełnie pustej willi, w mansardzie i nagle usłyszałam głos

Eisenhowera, oznajmiający światu, że siły alianckie od rana lądują pod Cherburgiem. Po nim przemawiali Churchill, królowa holenderska, i kolejno wszyscy przedstawiciele sił alianckich. Udało mi się zawiadomić o tym natychmiast komendanta i dr. Dobrzańskiego. Przeżywaliliśmy te pierwsze dni dezertu aliantów z szalonym niepokojem - czy się uda, jak to będzie dalej! Pisałam i pisałam na bieżąco, całymi dniami tkwiąc przy głośniku mego aparatu, nie licząc się prawie z koniecznością dalszej ostrożności. Tu zaszło zabawne nieporozumienie. Ojcowie redemptoryści, powiadomieni przez kogoś, że słychać w mojej willi głośnik i maszynę do pisania, przestrzegali przede mną znajomych, jako przed prowokatorką, lub obcą agentką!

W miarę pisania przypominają się mi dawno zapomniane sprawy. Wracam



więc do zimy lat 43-44. Pewnego dnia spytał mnie komendant, czy usiem pisać do rosyjsku. Powiedziałam, że tak, i wtedy podyktował mi list do dowódcy partyzanckiego oddziału sowieckiego, chyba Mankarowa (nie jestem zupełnie pewna), że zgodą na spotkanie z nim. Wobec powtarzających się jednak aktów zdrady ze strony sowieckiej, komendant zgodził się z nim spotkać jedynie pod warunkiem, że oddziały sowieckie cofną się o 6 km od miejsca spotkania, a polski oddział stanie tam na straży. Były tam jeszcze inne warunki, ale dalszej treści tego listu nie pamiętam. Wiem tylko, że spotkanie to się odbyło i zdaje mi się, że dr Dobrzański brał w nim udział.

Pamiętam też, że już latem, więc chyba w 44 r. na wiosną późną, nadeszła wiadomość o aresztowaniu Łupaszkę przez Niemców, czy Litwinów. Zmartwiłyśmy się bardzo, ale jakież było moje zdumienie, gdy bardzo prędko potem, po odwiedzeniu mojego brata w Kolonii Magistrackiej, spotkałam idącego go wesoło środkiem traktu do domu w Kolonii Magistrackiej, gdzie mieszkała jego żona z córeczką i teściową. Zapytany, jak to się stało, odpowiedział tylko, że się szczęśliwie wykpił. Bardzo mnie to wtedy zaniepokoiło, choć wiedziałam, że ten typowy watażka był gorącym patriotą. Znałam go bardzo mało. Raz tylko w nagłej sprawie poprosił mnie komendant, bym chwilowo odłożyła nasłuch i poszła do niego, do Kolonii Magistrackiej, gdzie właśnie był u żony i powiedziała mu, że Niemcy wiedzą, gdzie się jego oddział ma nazajutrz skoncentrować i z rozkazem wycofania się z tego rejonu, co też zrobił.

Zimą z 43 na 44 r. nie pamiętam dla jakiego powodu, uciekliśmy na krótki czas z domu na Wiosennej i zamieszkałam w dawnej kwaterze komendanta za cmentarzem koło św. Piotra i Pawła, u Żydówki. Nie było to bardzo bezpieczne miejsce. Skrytka była mała. Chowałam tam codzień aparaty dwa radiowe, ogromne, papiery swoje itd, by w dzień spokojnie w pokoju pracować głośno. Nie się jednak nie stało, tylko ani dr Dobrzański, ani komendant tam do mnie nie przychodzili, a ja do nich na Letnią i jeszcze gdzieś chodziłam. Po pewnym czasie wróciliśmy na Wiosenną. W każdym razie moja Żydówka orientowała się, że robią coś nielegalnie, ale milczała. Czy milczałaby jednak, jakby ją złapano?

I tak powoli wyłaniają się różne drobne fakty z tego okresu okupacji. Pamiętam, że raz wiozłam na saneczkach do centrum miasta, chyba na Wileńską, do małego skleriku "naszego", radio zepsute i wjechałam do połowy drzwi parterowego, niskiego sklepika, gdy przerażone oczy sklepikarza zwróciły moją uwagę. Faktycznie w sklepie byli Niemcy i trwała tam rewizja. Nie mówiąc słowa zawróciłam na pięcie i udało mi się uciec nie zauważonej. Raz znowu, też zimą, na jednej z ulic mniejszych, koło ulicy Wileńskiej, zostałam schwytana i zaprowadzona do niskiej stróżówki, gdzie było już kilka kobiet. Wszystkie miały, jak i ja, czarne futra i mniej więcej 40-kę na karku. Rękawy miałam pełne mych biuletynów, które z powodu braku łączniczki tego dnia sama odnosiłam. Zaczęłam kombinować co robić. Nagle, nie wiem sama dlaczego, wyprułam z podołka spódnicy banknot większy litowy i bez słowa podeszłam do Litwina, który stał oparty o drzwi i nas pilnował. Wpakowałam mu bez słowa pieniądze do ręki i otworzyłam sobie sama drzwi. Nikt mnie nie zatrzymał, a za pierwszym rogiem wpadłam do znajomych, by inną stroną ich bramy pójść do domu.

Były jednak i bardziej tragiczne dla mnie i całej naszej rodziny wypadki. Syn mego brata Juliusza, 16-letni wówczas chłopiec, wpadł w ręce Niemców z bronią w ręku, a zimą, po dojrzeniu do pełnoletności dostał wyrok śmierci i został wywieziony ze związanymi drutem rękami, co widział nasz bliski znajomy przez szparę w drzwiach swej celi, na miejsce straceń, na Ponary. Nie zapomniał twarzy mego brata, gdy przyszedł mi to oznajmić na Wiosenną! Okazało się, jednak, że Broniek nie był stracony, ale wywieziono go z całą grupą młodych silnych chłopców do budowy podstaw pod V1 i V2 pod Cherburgiem. Dokładnie tam, gdzie lądowali alianci. Cała grupa chłopców została uwolniona przez Amerykanów, ale nigdy już Bronka nikt nie widział i nie odnalazł. Wiadomość o tym jego tam pobycie oraz o uwolnieniu przywiózł jeden z będących z nim chłopców, uczciwie i bezinteresownie informując. Znał jego pseudonim, poznawał na zbiorowej fotografii, więc chyba mówił prawdę. Równocześnie z Bronkiem naszym wpadła duża grupa młodych chłopców, dowodzonych przez exdezertera kampanii 79 r.,



który chciał się rehabilitować i poza komendą utworzył oddział młodziu-  
tkich chłopców, a złapany ich wydał. Jakże głęboko nieszczęśliwy czło-  
wiek! Ale jakże biedni chłopcy i ich rodziny!

Niedługo przed zmianą frontu i wejściem Sowietów mieszkałam i pra-  
cowałam nadal na Kolonii Magistrackiej. Niemcy wycofywali się zupełnie  
widocznie. Pewnego dnia spostrzegłam się, że między miastem a mną są  
już tylko ostatnie linie frontowe niemieckie. Zapakowałam w piaskzystym  
rowie mój sprzęt cały i ruszyłam do miasta, by niebezpieczne chwile  
spędzić z moją matką. Nasłuch i tak musiał być przerwany. Mówię dobrze  
po niemiecku i wszystkie 3 linie niemieckie mnie przepuściły, jako Niem-  
kę, która biegnie do pozostałej w mieście matki. Ezcześnie więc do-  
tarłam do mojej matki i tam z nią, w piwnicy na Ogińskiego, razem z  
umierającym naszym młodym sąsiadem, jego matką, żoną i chorymi córkami,  
przeżyłam dość dramatycznie tydzień walk o Wilno.

Od aresztowania komendanta, - który miał być odznaczony, za tak wielki  
wzrost naszych oddziałów AK podczas zdobywania Wilna, orderem Lenina  
(zdaje się) - i wyłączenia naszych chłopców z AK, nie pracow-  
ałam już dobrze. Pesymizm mnie ogarnął i rozpacz, że nie tego cze-  
kaliśmy i pragnęliśmy, co przychodziło. P. Sadowska robiła mi wymówki,  
że moje biuletyny nie były już takie, jak na początku, ale ja nie mog-  
łam jakoś przewyciężyć się i faktycznie robota moja nie była już tak  
staranna, jak przedtem. Owszem pracowałam od świtu do nocy, oprócz nie-  
dział, kiedy to szłam do mojej matki na Pośpieszka, ale serca już w tę  
pracę wkładać nie umiałam. Na wiosnę jednak, gdy Legalizacja podrabiała  
masowo karty ewakuacyjne dla ukrywających się bardzo licznie chłopców z  
AK, pomagałam w tym, ile mogłam całym sercem. Nie wiele mogłam, ale w nag-  
łych wypadkach leciałam do Piotra, a raczej potem do Hilarego, który  
zastąpił Piotra, który ukrył się, czy wyjechał nawet. Tu pamiętam wyraź-  
nie jak Ochocki, polski przedstawiciel PKWN-u (nasz człowiek podstawiony  
przez dr. Dobrzańskiego, jako delegata Rządu) zdekonspirował się i nast-  
ępnie został aresztowany i wysłany do obozu w Workucie. Otóż znałam z  
pseudonimu tylko Stalę, kierownika transportu kolejowego na stacji wi-  
leńskiej, może tylko transportu repatriantów, nie pamiętam. Pamiętam  
natomiast dzień, kiedy pod wieczór, здаje się, wpadł do mnie, do mojej  
sutereny, gdzie mu doręczyłam takie, nagle "Karty Ewakuacyjne, i strasz-  
nie poruszony opowiedział, że miał właśnie wysłać ówczesnego komendanta  
(może płk. Kulikowskiego) do Warszawy, i szedł razem z Ochockim, przed-  
stawicielem litewskim od repatriacji oraz kilku innymi osobami, i  
zobaczył, jak mimo białego dnia jeszcze komendant po nich sobie kroczy.  
Litwini się spostrzegli, a Ochocki wywołał celowo jakąś awanturę, by  
ich zatrzymać. Stalowi zaś zepnął "AK jest poznany, niech pan z nim  
ucieka". Stalę wyprowadził biegiem przez tory komendanta, ale Ochocki już  
podpadł. Przeniesiono go na stanowisko jakiegoś ministra do Warszawy,  
ale gdy przyjechał do Wilna po rzeczy, został od razu przy pociągu aresz-  
towany. Biedny Stalę przeżył tę ucieczkę strasznie, przesiedział u mnie  
dobrych parę godzin i uciekł z miasta, spalony. Nigdy o nim więcej nie  
słyszałam. Daj Boże, żeby mu się ucieczka udała i ocalał. O Ochockim,  
który tak ładnie komendanta ratował mówiono, że on drzwi nie zatrzasnął,  
ale bardzo od nas odstąpił. A tu proszę, jak się wspaniale zachował!  
Pięknie się też później zachowywał następca Ochockiego, Urniarz, były  
właściciel, czy kierownik polskiej księgarni w Kownie. Sama też dosta-  
łam jego pomocy, gdy musiałam bardzo szybko wywieźć matkę i wyjechać z  
Wilna, zagrożona wzięciem z ulicy, jak byłam o tym uprzedzona przez na-  
szych.

Wspomnienia powracają, ożywają w miarę pisania. I tak nie pisałam,  
że chyba na przełomie lat 1943-44 p. Sadowska wpadła na pomysł organi-  
zowania w Wilnie, na ruchomej ciężarówce, stacji nadawczej "Kresy".  
Nasz kochany komendant, który pamiętam, przerażony był różnymi naszymi  
inicjatywami i bronił się przed nimi, pozwolił p. Sadowskiej pojechać do  
Warszawy, do "Błyskawicy", która obiecała wszelką pomoc i sprzęt. Nigdy  
jednak do uruchomienia takiej radiostacji nie doszło. Front się zbliżał.  
Pani Sadowska została wysłana z Wilna do (o ile pamiętam) Wołkorabiszek,  
gdzie przeniósł się i komendant ze swoją komendą na stałe. Ja też miałam  
tam jechać, ale komendant się rozmyślił i razem z dr. Dobrzańskim mogliś-



ny został w Wilnie i należał do grupy, która nie będzie się sowietom dekonspirowała. Ogółem, komendant nasz, znając sowiety, podzielił nas na takich, co muszą się ujawnić i takich, co tego zrobić nie mają. Dobrze pamiętam też, jak matka jego, pani Krzyżanowska, miała zostać pod naszą, to jest mego brata i moją opieką, w razie, gdyby siostra jego p. Pleskaczewska wpadła, jak i jej syn, pracownik Piotra w Legalizacji.

Praca moja przerwana została działaniami wojennymi w lipcu 1944 r. i zajęciem Wilna przez wojska sowieckie, aresztem komendanta i tylu innych osób, nie mówiąc przecież o Akowcach zamykanych w Miednikach, prześladowanych i poszukiwanych, a nawet przez czołgi i samoloty w lasach tępionych i wywożonych na roboty leśne w Kałudze. Podjęłam ją potem na nowo w willi pani Gabszewiczowej (matki słynnego lotnika polskiego w Londynie). Tam była najpierw kwatera komendanta "gen. Wilka". Zamieszkałam w pokoiku w suterrenach od frontu, a od tyłu zamieszkały 2 wspaniałe panie, matka i córka, których nazwisk nie pamiętam lub nawet nie znałam i w których pokoju było w ścianie, w bufe ciku na naczynia stołowe ekwilibrystyczne przejście do zamurowanej następnie zupełnie piwnicy - mego miejsca pracy. Choć do mojej przestrzeni życiowej do pracy miałam i zamkniętą ogromną stosunkowo piwnicę, zupełnie ciemną, nigdy nie została to wykryta, mimo rewizji, którą sowieccy okupanci po moim wyjeździe przeprowadzili, podobno dokładnie! Całe dni spędzałam w tej skrytce przy lampie karbidowej. W czasie zaś, gdy adoptowano skrytkę, zamurowywując ją zupełnie z całym schodami do piwnicy, pisałam i słuchałam w moim pokoiku, w suterrenie na rogu ul. Holenderni, gdzie willa p. Gabszewiczowej była położona. Pani Gabszewiczowa wieziała o mnie, ale - choć antypatyczna i mało warta - dobrze opłacana, nic nie mówiła. Reszta willi zajęta przez oficerów sowieckich, dziwnie jakoś nie słyszała moich aparatów radiowych. Nigdy na słuchawki nie słuchałam. W czasie, gdy czekałam na wykończenie skrytki, chyba w marcu 1945 r. do mojej szi terenki przyszli dwaj panowie, by mi powiedzieć, że jestem przedstawiona do Virtuti. Poruszyłam się szalenie, ale uważałam, że na coś aż takiego, nie zasługuję.

Pisałam na wstępie, że w pamięci mojej wyrzyły się specjalnie te rzeczy, które intensywnie przeżyłam. Otóż do takich momentów chcę powrócić, choć nie są one z B.I.P.-em związane, ale w czasie mej pracy w B.I.P. miały miejsce. Pierwsze to było 17 września 1943 r., kiedy rozstrzelany został przez Niemców, a właściwie przez Litwinów, wraz z grupą innych Rogu ducha winnych ludzi, w odwecie za zabicie Podoby (nie pamiętam kim on był), profesor Kazimierz Pelczar. Z jednej strony była to strata ogromna dla nauki, z drugiej zginął wspaniały Polak-patriota nieustraszony, dla mnie jednak, prócz tego, przyjaciel. Jako prezes Komitetu Pomocy dla Polaków (nie mylić z Komitetem Pomocy dla Uchodźców Polskich, którego prezesurę dzielili dr Petruszewiczowa i prezes Zagórski) tu chodziło o miejscową ludność polską; otrzymywałam z prowadzonego przeze mnie Polish Relief Fundu (Pomoc angielska dla Polaków - całe okryty z odzieżą używaną (i nawet częściowo nową) odzież, a w razie potrzeby dla poszczególnych osób specjalnie zagrożonych itd. pieniężną pomoc (miałam konto otwarte w banku). Znalizmy się jeszcze z czasów, kiedy pracowałam w Kownie w Litewskim Czerwonym Krzyżu przy jego prezesie, w biurze Stanejki (listopad 1939 - 13 marzec 1940), ale w Wilnie od chwili kiedy to 15 marca 1940 r. zostałam przedstawicielką Polish Relief Fundu i zorganizowałam tam składy itd. oraz przydzielałam Komitetom odzież, współpracowaliśmy z profesorem stale. Poza oficjalnym zajęciem prowadziliśmy razem komórkę opieki nad tymi, którzy uciekli z więzień, czy obozów, lub z pracy (z Frus np.), której pierwszym ogniwem były moje składy. Dopiero po ubraniu tych ludzi i stosownie do wiarogodności danej osoby, kierowałam ze specjalnym tekstem kartki tych ludzi do Komitetu profesora Pelczara, gdzie się nimi dalej opiekowano. Na tym tle poznaliśmy się bliżej i zaprzyjaźniliśmy osobliwie śmierć jego, tak tragiczna, była i dla mnie więc osobistym ciężkim ciosem. Pracowałam wtedy na Bonifraterskiej.



Drugim takim ciężkim przeżyciem było aresztowanie komendanta i zdrada sowiecka w ogóle. Potem przyszło aresztowanie całej rodziny dra Dobrzańskiego i męka tego człowieka, któremu sowieci zapowiedzieli, że jeżeli się im odda, to rodzinę jego wypuszczą. On tego jednak zrobić nie mógł i to było straszne. Ten wspaniały człowiek chodził szary na twarzy, skamieniały z bólu. Udało mu się wyjechać z p. Olgą, jego sekretarką, małego wnuczka przez granicę do Częstochowy, do rodziców synowej doktora pp Czerwińskich. Biedna p.Ola, gdy wracała, została zaraz aresztowana. Potem zupełnie przypadkowo, aresztowano na wiosnę 1944 r. dra Dobrzańskiego, gdy bronił jakiejś napadniętej kobiety. Rozpoznany (poszukiwano go dawno z fotografią) został i naturalnie przeszedł okropne badania i następnie obozy.

Fakty te są dobrze znane, jak i przebieg pobytu doktora w Workucie i potem nad Bajkałem, piszę jednak o tym, bo areszt doktora i wszystko co go spotkało, jak i jego rodzinę, było dla nas, jego przyjaciół, niezmiernie bolesne. Trzeba było dalej pracować, ale praca była już potem ciężka. Wszystko zdawało się kruszyć i rozpadać w co wierzyliśmy i o czym marzyliśmy, choćby za cenę własnego życia.

Jeszcze chciałabym wrócić do b. ciężkiego okresu, a nie wydarzenia, które przeżyłam b. boleśnie. Chodzi tu o powstanie warszawskie. Od pierwszej chwili bałam się, że powstańcy zostaną zdradzeni no tygodniu, co spotkało nasze i lwowskie AK, nie miałam złudzeń, że pomocy sowieci nam nie okażą, odwrotnie pomogą Niemcom w wyniszczeniu Warszawy i Polaków walczących. P.Sadowska nie chciała w to wierzyć i pełna ufności była, że Warszawa się obroni i uratuje Polskę przed jej zawiadnięciem przez sowieci. Łapałam „Błyskawicę”, poki nadawała, łapałam tragiczne audycje BBC, zaczynające się zawsze od „Z dymem pożarów” i obraz kłaski nabierał coraz wyraźniejszych kształtów. Na koniec i p. Marysia Sadowska doszła do przekonania, że niestety, miałam właściwe przeczucie i obie razem straciłyśmy spokój i sen. Pisałam nadal moje biuletynki, nasłuchane ze wszystkich stron, ale już nie mogłam tak pracować jak dawniej. Straciłam wiarę w jej celowość. Historia toczyła się pozanami i nad naszymi głowami. Pamiętam też, jak poszłyśmy do kina na „Jaitę”. Mój Boże cóż to była za ciężka chwila! Rozpacz niemocy naszej i fakt, że siła przed prawem jest jeszcze.

Jeszcze jedna chwila wryła się mi tak bardzo w pamięć, to było 8 maja 1945 r. W radiu wszystkie narody nadawały najradośniejsze, najszczęśliwsze dane o końcu wojny. Ja siedziałam na Holenderni w mojej piwnicy i słuchając tych okrzyków, śpiewów itd., płakałam. Wydawało mi się, że to nad naszą trumną, której wieko się zamyka, ludzie całego świata się radują! Czarna przepaść zdawała się otwierać przed Polską. Za okienkiem zaś mojej drugiej, przyległej do pracowni mojej piwniczki, słyszałam i widziałam enkawudzystów krążących koło domu. Podobno mnie czy p. Sadowską szukali. Nie weszli jednak, a chwile te, jak tyle innych się jakoś przeżyło! I - choć wszystko wyszło inaczej - i choć inna jest ta nasza rzeczywistość, muszą powiedzieć, że widzą i cieszą się z tego co teraz dla Polski jest dobre. Warszawa stoi odbudowana, ileż fabryk i zakładów przemysłowych powstało, ile bogactw w kraju odkryto, miast i osiedli w miastach i po wsiach zbudowano! Nie dobre jednak jest to co ludzi u nas psuje: korupcja straszna, cwaniactwo, łapownictwo, zanik zdrowej moralności, poza tym (co najważniejsze!), że nie jesteśmy wolni. Rządzą nami sowieci, których kolonią w pewnym stopniu jesteśmy. Czy zawsze?

Zofia Komorowska - Majewska



II. Materiały uzupełniające relację:

"Materiały - 3" - przekazana Jolena Tymon u listop. 2005 (do E-2.)  
(Uprkór do Fund. 10.09.2007). Msp. kserokopie, k. 6, s. 1-6.





Paczkę Irene Tymon 17.09.1939

AK Wileńsko  
11-A

ZAWARTOŚĆ "MATERIAŁÓW - 3"

1. Wspomnienia Zofii Komorowskiej-Majewskiej /"Elizy"/. - BIP. Koniec zimy 1942/43 do lipca 1945.
2. Z listów "Elizy" do Joanny.

Uwagi red.

- 1/ Adresatka listów "Elizy" była Joanna Mackiewicz, która dokonała wyboru fragmentów z nich, składających się na poz. 2
  - 2/ Wspomnienia i fragmenty listów Z. Komorowskiej-Majewskiej zamieszczone w "Materiałach-3" pochodzą ze "Zbiorów" Czesława i Ryszarda Mackiewiczów, których część została przekazana dla redakcji "Wil.Przekazu" - do ewentualnego wykorzystania - przez Ryszarda Mackiewicza, syna Czesława i Joanny Mackiewiczów.
- ZAWARTOŚĆ WCZEŚNIEJSZYCH ZESZYTÓW "MATERIAŁÓW"
- Z.1. S. STECKIEWICZ : System zbrodni.  
Polska operacja NKWD w latach 1937-38 str. 1-10
  - Z.2. Dalsze informacje o mjr Janinie Kares, wybór tekstów i opracow. red. S.St.
- NIKTÓRE TEMATY NASTĘPNYCH ZESZYTÓW "MATERIAŁÓW"
- Polski wywiad w Litwie w latach drugiej wojny światowej
  - Spotkanie z bolszewikami 17.09.1939 na Wotyniu
  - Przyczynki do historii Komendy Okręgu Wileńskiego AK i wileńskich oddziałów AK po 17.07.1944r.
  - Plan tematyczny monografii 6 Wileńskiej Samodzielnej Brygady Partyzanckiej AK oraz ocena dotychczasowego dorobku w dokumentowaniu.
  - Spis treści "Zapisek do Dziejów Brygady" /Z.1-5/
  - Wspomnienia z działalności w OD 4, OP "Błyskawice" i 6 Brygadzie.
  - Biografie Kpt. Leopolda Swikli- "Adama", Balińskiego", por. Franciszka Żamejcia -"Sitwy", sierżanta podch. Cezarego Steckiewicza-"Cezara", sierż. Józefa Skawińskiego.
  - Materiały do historii rodu Steckiewiczów herbu Kościusze.
  - Materiały do biografii Daniela Kostrowickiego-"Denka", "Żygmunta".

FUNDACJA  
"Archiwum i Muzeum Pomorskie  
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek"  
w Toruniu

Wypłynęło dnia: 10.09.2007  
L. dz. 1588/584-419/07

Załączniki: .....  
Referent: .....



B.I.P.

KONIEC ZIMY 1942/1943 do lipca 1945

"Widzę, że w mej pamięci /  
choć życie płynie -  
Zostaje tylko to, co było  
za mocno przeżyte  
w jakiejś godzinie !"

Zaprzysiężona we wrześniu 1941 r. w Czarnym Borze pod Wilnem przez mjr. Faliszewskiego (brata znanego piosenkarza), nie miałam właściwie nic konkretnego do robienia, dorywczo tylko coś mi zlecano. To też, gdy po wpadnięciu starszej pani Krystyny Stawierskiej, która prowadziła nas - łuch dla Komendy, kuzyn mój Red (Roch) Romer zaproponował mi w imieniu komendanta prowadzenie nasłuchu, byłam bardzo szczęśliwa, że bąd mogła nagle coś konkretnego robić. Zgodziłam się więc natychmiast i zaraz następnego dnia Jurek Słowikowski, syn pułkownika Słowikowskiego i prezacznej pani Jaminy Słowikowskiej, przywiózł mi, na saneczkach do domu na Ogińskiego 8, na Półpiękosiej, w Wilnie, gdzie mieszkałam w danej chwili z moją matką, pierwszy aparat radiowy. Kuzynka moja, właścicielka domu, Irena Piórecka, pozwoliła mi pracować w pokoju za strychem i tam zaczęłam moją nową pracę. Znałam francuski, angielski, niemiecki, rosyjski, litewski i trochę hiszpańskiego, a że stenografowałam wg. zasad fonetyki, mogłam spokojnie stenografować w każdym z tych języków. Z zapamiętaniem się więc do stenografowania audycji BBC, francuskich, niemieckich, rosyjskich itd., by je następnie streszczać, pisać ręcznie w kilku egzemplarzach, rodząj biuletynu dziennego. Ten znowu służył do wydawania na powielaczu, ale przez kogoś już innego, właściciwego Biuletynu, w ramach zapennej B.I.P. - u, o którego istnieniu wogóle wtedy nie miałam pojęcia. Nie pamiętam komu te moje biuletyny doręczałam, ale zdaje się, że ich sama wtedy nie nosiłam. Odpowiadał mnie czasami mój kuzyn Romer i ja - kłis nieznamy pan. Przeszkolona w odbywym więzieniu, nie chciałam nikogo znać i wogóle jak najmniej wiedzieć, poza tym, co do mnie mogło należeć do wiadomości kontrolowanej, bo redakcja Biuletynu i Niepodległości musiła sprawdzić, czy podają ściśle i uczciwie dane. Gdy się jednak przekonałam, że pracuję rzetelnie, spokoja mnie wielka radość. Pewnego dnia komendant nazw, "Generał Wilk", którego dawno znałam, wyznaczył mi spotkanie na Antokolu, u mojej przeczajnej koleżanki z więzienia, Fli Kwiatkowskiej i ufiiskał mnie serdecznie, dziękując za pracę. Byłam bardzo wzruszona.

W tym okresie pracy mojej, zupełnie niezabezpieczonej, na Ogińskiego daty nie pamiętam, ale jest ona podana dokładnie, bo było to bezpośrednio po wpadce Legalizacji na ul. Kalwaryjskiej, zjawił się w jakiejś sprawie do mnie Piotr, szef Legalizacji. W czasie rozmowy koło domu, Piotr rozejrzał się w położeniu willi tej i powiedział: "Ależ melin!" Willa istotnie leżała dość daleko od małej ulicy, w ogrodzie, a za nią był jeszcze mały ogród i dalej pole. Z obu boków sąsiedzi byli daleko. Sam dom był murowany, niemały. Piotr postanowił więc natychmiast pomówić z moją kuzynką, właścicielką willi, a ta najostriniej zgodziła się na wprowadzenie się do niej Legalizacji i dokonanie wszelkich potrzebnych skrytek, muszą przyznać, że nie miałam ochoty na to, by moja matka miała w takiej bezczepności, ale nie miałam nic do powiedzenia. Przykro mi też było, że inni lokatorzy willi nic nie wiedzieli, co im może kaidej chwili grozić. Legalizacja wniosła się zaraz i wmontowano dla niej dwie duże skrytki, tak doskonale zakonserwowane, że ani wojsko, które zajęło dom w czasie zmiany frontu, ani dokładna rewizja NKWD ich nie odkryła. Do końca czerwca 1945 r. szła tu wspaniała robota, która uratowała bardzo wiele osób i pomagała każdemu, kto tego potrzebował. Na czele tej komórki stali dwaj bracia Warakomscy, graficy, których fałszowane podpisy były tak doskonałe, że ani Niemcy, ani Rosjanie nie umieli ich odróżnić od prawdziwych. Ponieważ Legalizacja wniosła się na Ogińskiego przypadkiem za moim pośrednictwem, poznałam tych wspaniałych ludzi, którzy tam pracowali i miałam w nagłych wypadkach zawsze dostęp do nich, co się czasami przydawało, gdy łączności nie miały do nich dostępu. Na Ogińskiego przewieziono resztę akcesoriów potrzebnych, podczas gdy część ich wpadła w ręce Niemców na Kalwaryjskiej. A mówiono, że Niemcy zorganizowali w Berlinie wystawę prac naszej wileńskiej Legalizacji, podziwiając talent i umiejętności tej pracowni. naturalnie przede wszystkim piosenka i Helara.

Było już El Alemein i walki o Stalingrad podnosiły ducha. Zajęta całym dniami nasłuchem, nie miałam w nikim prawie kontakcie, ale czułam, że wszyscy żyjemy nadzieją na salamanie się Niemców i szczęśliwie koniec tej okropnej wojny i okupacji. Słuchając tak dużo, udawało mi się wysłuchać na gorąco różne przemówienia itd.

Z niedzielnym latami i okresie urlopowego, a wniestieniem się Legalizacji na Ogińskiego, przeniesiono mnie do domu na Bonifraterską i róg Ludw. Serkiewej, najpierw do mieszkania mego kuzyna Romera, który wyjechał pod Wilno na letnisko, jak i właściciel mieszkania, wuj mój, prof. Michał Romer. Gdy wuj wyjechał do swej rezydencji w powiecie Rekiškim, wiodł mnie do mieszkania dr. Dobrzański, uważając, że tam będzie najbezpieczniej. Kuj mój, choć dawny legionista, przeszedł wtedy całkowicie na stronę litewską. Po zerwaniu z marsz. Pilsudskim, po zajęciu Wilna przez Gen. Żeligowskiego, został przewodniczącym Najwyższego Trybunału w Kownie, potem Rektorem Uniw. Kowieńskiego, by w końcu zostać profesorem Litewskiego Uniwersytetu w Wilnie, co było dla całej rodziny niezmiernie bolesne. W jego jednak mieszkaniu odbywały się różne zebrania i ja prowadziłam najbezpieczniej swój nasłuch. Wiedzieliśmy i widzieliśmy, że się różne osoby zbierają, ale nie pytałam o nic, oczywiście. Z uwagi na wujka mój bardzo przykro nadużywał jego nieświadomej kofciności. ~~Wtedy~~ Gdy ~~już~~ później powiedziałam mu o tym, uszyztałam mej radości - odpowiedź, że on by też na moim miejscu to samo zrobił. Tymczasem dla bezpieczeństwa lokalni, kuzyn mój Red Romer, prosił bym się tak zachowywać, by nikt wogóle nie spostrzegł się, że w tym mieszkaniu ktoś jest. W rezultacie więc byłam zupełnie zamknięta, wychodziłam tylko na Mszę w niedziele i czasem do sklepu, po jedzenie. W gruncie rzeczy żyłam tylko kartoflanką prawie i trochę głodowałam. W tym czasie pamiętam kapitulację Włoch, ogłoszoną przez marsz. Badoglio. Zrobiło mi na mnie kolosalne wrażenie i dzię ta chwila stoi mi w oczach.

Na Bonifraterskiej dostawałam po pewnym czasie maszynę do pisania. Skonczyło się więc niekoniecznie streszczanie nasłuchu ręcznie w paru egzemplarzach. Teraz mogłam odbijać ich włączej i czytelniej. Dr Dobrzański wpadł czasem do mnie, czasem przychodził przyjaćiel nasz pan Zygmunt Ugański, człowiek zupełnie pewny i nasz, no i mój - kuzyn Red Romer, któremy, jak się potem dowiedziałam, był kierownikiem sekcji skrytek.

Gdy jednak lato miało się ku końcowi i mieszkańcy mieszkania mieli się domu powrócić, zabrał mnie dr. Dobrzański do willi na Wiosemnej (numery nie pamiętam, a szkoda, bo tam pozostał archiwum B.I.P.-u). Mieszkała tam p. Maria Sadowska, młoda, przemiła rzeźbiarka. Osoba o ukończonej Akademii sztuk Pięknych, bardzo inteligentna, gorąca patriotka i nietywale szlachetny człowiek. W domu tym pracował dr. Dobrzański nad redakcją "Niepodległości", a p. Sadowska (Wiesława) mu pomagała, zanim nie zaczęła sama redagować pisma dla wsi, bodajże pod nazwą "Polska Wieś" czy "Nasza Wieś" - nie pamiętam, z przelicie tak dobrze to wiedziałam. Żyliśmy się z p. Marysią jak siostrzy i szersze pokochały. Dzieliło nas tylko jedno, a mianowicie narzeozony jej pracownik B.I.P.-u "Zenon" Druskont, był mi antypatyczny, co ją bolało. On też mnie w sercu nieznosił i nie zawsze był grzeczny. Lokal nasz zajmował całą niedużą willę, oddzieloną tarasem i schodkami na ulicę schodami, od wsch. kierunku ruchu ulicznego. Prócz dr. Dobrzańskiego przychodził tam codziennie gdy był w mieście komendant. Pracował tu stale dr. Dobrzański i pani Marysia Sadowska (Wiesława). Łączniczką ich, odnoszącą zredagowane przez nich numery "Niepodległości", a następnie "Naszej Wsi" do drukarni tajnych, była mieszkająca koło naszego domu Hania Warburg. Nieestetyczna ona pewnego dnia (daty nie pamiętam) zjadła przez gestapo i strasznie męczona. W czasie takiego śledztwa, bojąc się sypać kogokolwiek, wykończyła przez okno z gmachu sądu koło placu Łukiskiego. Padając z III piętra, zlaną sobie biodro i została przewieziona do szpitala św. Jakuba, gdzie głównym chirurgiem był dr. Warburg, jej stryj. Wiedząc, że w czasie leczenia w szpitalu tym po operacji, zrobionej przez dr. Warburga, który naturalnie starał się ją ratować, gestapo badało ją dalej, szarpając za operowaną nogę. Tymczasem zaś, gdy Hani zabrakło, stanęła natychmiast za nią do pracy jej matka, pani Warburzyna. Ale i ona po pewnym czasie wpadła, a tego samego dnia zgłosiła się jej/namiejscu



druga córka, która - jak i jej ojciec, pan Harburg, była przacziwa pracą Hani a potem matki, bo się o nie bała. Ta nie wpadła, ani z gazetkami, ani z moimi biuletynami, bo i te nosiła. Chciałabym by wszystkie wiedziały, jaka to była wspaniała grupa kobiet - patriotek. Hania po szpitalu trafiła via więzienie chyba, nie jestem pewna, do obozu w Prowieniskach. Po wojnie zaś, gdy cała jej rodzina zamieszkała w Lublinie, Hania, wobec ciężkiej gruźlicy, której się w Prowieniskach nabawiła, wyjechała do Zakopanego i tam zmarła. Cześć jej pamięci!

Dom na Wiosennej nie był bardzo wygodny, ale bezpieczny stosunkowo, bo odległy od sąsiadów i ulicy. Było tam jednak bardzo zimno i nachodziła nas stała wariątka, dawałajsa lokatorka tego domu, prosta dziewczyna, która za wszelką cenę chciała się do tego domu znowu wnieść. Ciągle nas podglądała, krzychała przed domem różne bardzo niewiastkiwa na tamte czasy rzeczy np., że słyszy maszynę do pisania itd. Znała też jedną, najmniejszą szczęściem skrytkę, z której już potem nie można było korzystać. P. Marysia Sadowska nie mogła oczywiście jej do naszego domu wpuścić, by nie naraził komendanta, czy dra Donzańkiego, no i ona obul pamiętam jak dziś, jak chcąc nas wzruszyć i zmusić do wpuszczenia jej, rozbrajała się przed moim oknem w dzień kłili, obwiesiła swoimi rzeczami, ohoinkę przed oknem i mimo drobnego, padającego śniegu, stała naga i zmarznięta przez jakiś dobry czas. Żal mi jej było strasznie, ale przecież nie można jej było wpuścić. Trwało to długo i komendant zaproponował mi podanie jej pigułek. Z przerażeniem odmówiłam. Tego nie byłam w stanie zrobić. Potem miała być zlikwidowana na emigrację rosyjską, ale tam nie poszła. Z czasem się, to ledwo nie skończyło tragicznie. Zimą 1944 r. po Bożym Narodzeniu, Zosia pobliła się z P. Sadowską - która ją siłą wyrzuciła z domu i pobiegła wydać ją i mnie władzom sowieckim. Na próżno zlikwidowaliśmy z dr. Dobrzańskim, co było na wierzchu. Wpokoiliśmy wszystko do skrytki, która była sprytnie zrobiona za pierwszą skrytką. Pani Sadowska pierwszą gdzieś poszła, a z dr. Dobrzańskim naduchaliśmy na podłogę pierwszej skrytki kurz ze strychu i zastawiając drzwi od niej otwarte, wyszliśmy z domu. Doktor widzi w wózku dziecinny różne potrzebne papiery itd., a ja niosłam coś jeszcze. Nagle spostrzeżliśmy się, że szuflada z papierami komendanta nie została oczyszczona. Wróciliśmy więc zaraz, zabrałem tych trochę papierów i jakiegż dwa pieczęci (może więcej, nie pamiętam) i z torbką wpychałam ruszam na ulicę. Zęjdąc po oblodzonych schodach najgłówniej w świecie zawołałam "szawa Bogu!" Zdułmiony sowiet spytał "cztoż, wy nas nie boíteś?", a ja mu powiedziałam, że bałam się upadć. W tej chwili kazano mnie pokazać dokumenty i otworzyły torbę, a gdzie bym wtedy wyglądała! Ale pierwszy sowiet spytał, gdzie mieszkałam i każe iść do domu, nim otworzył torbę. Zażalenie się frontu niemieckiego Ale wracam do czasów niemieckich. Załamanie się frontu niemieckiego pod Stalingradem przeżyliśmy wszyscy głęboko, ale też bardzo zabolala nas sprawa Katynia, zerwanie z Rządem Nierzym itd. Różowe nadzieje na szczytliwe zakończenie dla nas wojny zaczęły blednąć. Zapamiętam wszystko co się dało o Armii Andersa, o Generale Maczku itd. Ale najważniejszym szalonego momentem było lądowanie alianatów w Normandii. Nie pamiętam dlaczego tego byłem wtedy zakwaterowana na Kolonii Magistrackiej w Wilnie, w zupełnie pustej willi, w mansardzie i nagłe usłyszałem flos

Eisnflawera, oznajmiający światu, że siły alianckie od rana lądują pod Cherburgiem. Po nim przemawiali Churchill, królowa holenderska, i kolejno wszyscy przedstawiciele sił alianckich. Udało mi się zawiadomić o tym natchymist komendanta i dra Dobrzańskiego. Przeżywałem te pierwsze dni desantu alianatów z szalonym niepokojem - czy się uda, jak to będzie dalej? Pisałam i pisałam nie bieżąc, całym dniami tkwiąc przy słuchaniu mego aparatu, nie licząc się prawie z koniecznością dalszej ostrożności. Tu zarazto zabrane nieporozumienie. Objawie redemptoryści, powiadomieni przez kogoś, że słychać w mojej willi głosnik i maszynę do pisania, przestrzegali przede mną znajomych, jako przed prowokatorką, lub obcą agentką!

W miarę pisanja przypominają się mnie dawno zapomniane sprawy. Wracam

11-3  
wino do zimy lat 43-44. Pewnego dnia anytał mnie komendant, czy uśmie p piesz na rosyjsku. Powiedziałam, że tak, i wtedy rodyktował mi list do dowódcy partyzanckiego oddziału sowieckiego, chyba Pankarowa (nie jestem zupełnie pewna), że zgodą na spotkanie z nim, wobec powtarzających się jednak aktów zdrady ze strony sowieckiej, komendant zgodną się z nim spotkać jedynie pod warunkiem, że oddział sowieckie cofną się o 6 km od miejsca spotkania, a polski oddział stanie tam na straży. Były tam jeszcze inne warunki, ale dalszej treści tego listu nie pamiętam, wiem tylko, że spotkanie to się odbyło i zdaje mi się, że dr Dobrzański brał w nim udział.

Pamiętam też, że już latem, wioño chyba w 44 r. na wiosnę późną, nadeszła wiadomość o aresztowaniu Łupaszi przez Niemców, czy Litwinów. Zmartwił mi się bardzo, ale jakież było moje zdumienie, gdy bardzo prędko potem, po odwiedzeniu mojego brata w Kolonii Magistrackiej, spotkałm jednego, go, wesoło środkiem traktu do domu w Kolonii Magistrackiej, gdzie mieszkala jego żona z córeczką i teściową. Zapytany, jak to się stało, odpowiedział tylko, że się szczęśliwie wykpił. Bardzo mnie to wtedy zaniepokoiło, choć wiedziałam, że ten tytowy wataśka był gorącym patriotą. Znałem go bardzo mało. Raz tylko w nagłej sprawie poprosił mnie komendant, bym chwilowo odłożyła nagauch i poszła do niego, do Kolonii Magistrackiej, gdzie właśnie był u żony i powieziła mu, że Niemcy wiedzą, gdzie się oddział ma nazażony i skoncentrował i z rozkazem wycofania się z tego rejonu, co też zrobił.

Zimą z 43 na 44 r. nie pamiętam dla jakiego powodu, uciekliśmy na krótki czas z domu na Wiosennej i zamieszkałam w dawnej kwaterze komendanta za emantarem koło św. Piotra i Pawła, u żydówki. Nie było to bardzo bezpieczne miejsce. Skrytka była mała. Chowałem tam codziennie w raty dwa radiowe, ogromne. Papiery swoje itd, by w dzień smokojnie w pokoju pracować. Głównie. Nie się jednak nie stało, tylko ani dr Dobrzański, ani komendant tam do mnie nie przychodzili, a ja do nich na Letnią i jeszcze gdzieś chodziłam. Po pewnym czasie wrócił mi na Wiosenną. W każdym razie moja żydówka orientowała się, że robią coś nielegalnie, ale milczała. Czy milczałaby jednak jakby ją złapano?

I tak powoli wyłaniają się różne drobne fakty z tego okresu okupacji. Pamiętam, że raz wiozłam na saneczkach do centrum miasta, chyba na Wileńską, do małego sklepu "naszego", radio zepsute i wjechałem do łowy drzwi parterowego, niskiego sklepu, gdy przerażone oczy sklepikarza zwróciły moją uwagę. Faktycznie w sklepie byli Niemcy i trwała tam rewizja. Nie mówił słowa zwróciłam na pięcie i udało mi się uciec nie zauważony. Raz znowu, też zimą, na jednej z ulic mniejszych, koło ulicy Wileńskiej, zostałam schwytana i zaprowadzona do niskiej stróżówki, gdzie było już kilka kobiet. Wskazywały mi, jak i ja, czarne futra i mniejszej 40-ke na karku. Rękawy miała pełne mych biuletynów, które z powodu braku łączniczki tego dnia sama odnosiłam. Zaczęłam krzycząc co robić. Nagle, nie wiem sama dlaczego, wyprzedziłam z podłogi spódnicy banknot większy litowy, bez słowa podziękowań do Litwina, który stał i obwodził mnie sobie sama drzwiami. Nikt mnie nie zatrzymał, a za pierwszym rogiem wpadłam do znajomych. Wpokoiliam mu bez słowa pieniądze do ręki i obwodził mnie sobie sama drzwiami. Nikt mnie nie zatrzymał, a za pierwszym rogiem wpadłam do znajomych, by inną stronę ich bramy pójść do domu.

Były jednak i barzyzgi tragiczne dla mnie i całej naszej rodziny wy-padki. Syn mego brata Juliusza, 16-letni wówczas chłopiec, wpadł w ręce Niemców z bronią w rękę, a zimą, po dojeździe do pełnoletności dostał wyrok śmierci i został wywieziony ze związanymi drugiem rękami, co widział nasz bliski znajomy przez szparę w drzwiach swej celi, na miejsce straconi, na Ponary. Nie zaronę twarzą mego brata, gdy przyzwodził mi to oznajmić na Wiosenną Okazało się jednak, że Broniek nie był stracony, ale wywieziono go z całą grupą młodych alijnych chłopców do budowy podatak pod V1 i V2 pod Cherburgiem. Dokładnie tam gdzie lądowali alianci. Cała grupa chłopców została uwolniona przez Amerykanów, ale nigdy już Bronka nikt nie widział i nie odnalazł. Wiadomość o tym jego tam pobycie oraz interwencji informując. Znał jego pseudonim, poznał na zbiorowej fotografii, więc chyba mówił prawdę. Równocześnie z Bronkiem naszym wpadła duża grupa młodych chiopców, dowodzonych przez exdzertera kompanii 39 r.,



który chciał się rehabilitować i poza komendą utworzył oddział młodzień-  
kich chłopców, a znanymi ich wydał. Jakże głąboko nieszczęśliwy czło-  
wieki! Ale jakie biedni chłopcy i ich rodziny!

Niedługo przed zmianą frontu i wejściem Sowietów mieszkałem i pra-  
cowałem nadal na Kolonii Magistrackiej. Niemcy wycofywali się zupełnie  
widocznie. Pewnego dnia spostrzegłem się, że między miastem a mną są  
już tylko ostatnie linie frontowe niemieckie. Zapakowałem w piaseczystym  
rowie mój sprzęt cały i ruszyłem do miasta, by niebezpieczne chwile  
spędzić z moją matką. Nasłuch i tak musiał być przerwany. Mówię dobrze  
po niemiecku i wszystkie 3 linie niemieckie mnie przepuściły, jako Niem-  
ką, która biegnie do pozostałej w mieście metki. Eszczęśliwie więc do-  
trałam do mojej matki i tam z nią, w piwnicy na Ogińskiego, razem z  
umierającym naszym młodym sąsiadem, jego matką, żoną i chorymi córkami,  
przeżyłam dość dramatycznie tydzień walk o Wilno.

Od aresztowania komendanta, który miał być odznaczony, że tak wielki  
udział w naszym oddziale AK podczas zdobywania Wilna, orderem Lenina  
(zdaje się) i wyżej. Pesymizm mnie ogarnął i rozpaczą, że nie tego cze-  
kał mi się już dobrze. Pomyślałem, co przychodziło, P. Sadowska robiła mi wymówki,  
że moje bliźni nie były już takie, jak na początku, ale ja nie mog-  
łem jakoś przewyżyć się i faktycznie robota moja nie była już tak  
staranna, jak przedtem. Owszem pracowałem od świtu do nocy, procz nie -  
dział, kiedy do szlam do mojej matki na Podpieczkę, ale serca już w te  
prace wkładać nie umiałam. Na wiosnę jednak! gdy Legalizacja podrobiła  
masowo karty ewakuacyjne dla ukrywających się bardzo licznie chłopców z  
AK, pomagałem w tym, ile mogłem całym sercem. Nie wiele mogłem, ale w nag-  
łych wypadkach leciałem do Piotra, a raczej potem do Hilarego, który  
zastąpił Piotra, który ukrył się, czy wyjechał nawet. Tu pamiętam wyraź-  
nie jak Ochocki, polski przedstawiciel PAK-u (nasz czołowiek podstawiony  
przez dr. Dobrzańskiego, jako delegata Rządu) zdekonspirował się i nas-  
tępnie został aresztowany i wysłany do obozu w Warkucie. Odtąd znałem z  
pseudonimem tylko Stala, kierownika transportu kolejowego na stacji wi-  
leńskiej, może tylko transportu reparantów, nie pamiętam. Pamiętam  
nawet dzień, kiedy pod wieżę, zdaje się, wpadł do mnie, do mojej  
sutereny, gdzie mu doroczyłem takie, nagle "Karty Ewakuacyjne", i strasz-  
nie poruszony opowiedział, że miał właśnie wyjazd ówczesnego komendanta  
(może rik, Kulikowskiego) do Warszawy, i szedł razem z Ochockim, przed-  
stawicielem litewskim od repatriacji oraz kilku innymi osobami  
zobaczyć, jak mimo blącego dnia jeszcze komendant po nich sobie kroczy,  
Litwini się spostrzęgli, a Ochocki wywołał celowo jakąś awanturą, by  
ich zatrzymać. Stalowi zaśrzepnął AK jest poznany, niech pan z nim  
uciekaj". Stal wyprowadził biegiem przez tor komendanta, ale Ochocki już  
ale gdy przyjechał do Wilna po rzeczy, został od razu przy podzięgu aresz-  
towany. Biedny Stal przeżył tę ucieczkę strasznie, przesiadział u mnie  
dobrych parę godzin i uciekł z miasta, spalony. Kiedy o nim więcej nie  
słyszałem, Dał Boże, żeby mu się ucieczka udała i ocalał. O Ochockim,  
który tak ładnie komendanta ratował mówiono, że on drzwi nie zatrzasnął,  
ale bardzo od nas odstał. A tu proszę, jak się wspaniale zachował!  
Pamiętam się też później zachowywał następcą Ochockiego, Urniarz, były  
władniciele, czy kierownik polskiej księgarni w Kownie. Sama też dosta-  
łem jego pomocy, gdy musiałam bardzo szybko wywieźć matkę i wyjechać z  
Wilna, zagrożona wzięciem z ulicy, jak byłem o tym uprzedzona przez na-  
szych.

Wspomnienia powracają, ożywają w miarę pisania. I tak nie piszęm,  
że chyba na przełomie lat 1943-44 p. Sadowska wpadła na pomysł zorgani-  
zowania w Wilnie, na ruchomej ciężarówce, stacji nadawczej "krawy".  
Nasz Kochany komendant, który pamiętam, przerażony był różnymi naszymi  
inicjatywami i bronił się przed nimi, pozwolił p. Sadowskiej pojechać do  
Warszawy, do "Włyskiewicz", która obiecała wszelką pomoc i sprzęt. Nigdy  
jednak do uruchomienia takiej radiostacji nie doszło. Front się zbliżał.  
Pani Sadowska została wystawna z Wilna do (o ile pamiętam) Wólkorabiszek,  
gdzie przedostała się i komendant ze swoją komendą na stałe. Ja też miałam  
tam jechać, ale komendant się rozmyślił i razem z dr. Dobrzańskim mieliś-

my został w Wilnie i należał do grupy, która nie będzie się Sowietów  
dekonspirowała, ogólnie, komendant nasz, znając Sowietów, podzielił nas  
na tak, co muszą się ujawnić i takich, co tego zrobić nie mają. Dob-  
rze pamiętam też, jak matka jego, pani Krzyżanowska,  
miała zostać pod naszą. To jest-nego brata i moją opie-  
ka, w razie, gdyby siostra jego p. Pleskaczewska wpadła, jak i jej syn,  
pracownik Piotra w Legalizacji.

Praca moja przerwana została działaniami wojennymi w lipcu 1944 r.  
i zajęciem Wilna przez wojska sowieckie, aresztowaniem komendanta i tylu  
innych osób, nie mówiąc przecież o Akowcach zmykających w Hiednikach,  
prześladowanych i poszukiwanych, a nawet przez czółgi i samoloty w  
lasech tajpionych i wywożonych na roboty ładne w Kaludze.  
Podjąłem ją potem na nowo w Wilni, pani Gabzewiczowej (matki słynnego  
lotnika polskiego w Londynie) tam była najpierw kwatery komendanta  
"gen. Wilka". Zamieszkałem w pokoju w suterrenach od frontu, a od tyłu  
zamieszkały 2 wspaniałe panie, matka i córka, których nazwisk nie pa-  
miętałem lub nawet nie znałem i w których pokoju było w ścinie, w bufe-  
cie na naczynia stołowe ekwilibrystyczne przejechał do zamurowanej  
następnie zupełnie ciemny - mego miejsca pracy. Choć do mojej prze-  
trzeni życiowej do pracy miałem i zostawał do wykrycia, mimo rewizji,  
która sowieccy okupanci po moim wyjeździe przeprowadzili, podobno dok-  
ładnie Cete dnie spędzałem w tej skrytce przy lampie karbidowej. W  
czasie zaś, gdy adoptowano skrytkę, zamurowywając ją zupełnie i cały  
schodami do piwnicy, pisałem i słuchałem w moim pokoju, w suterrenie  
na rogu ul. Holenderski, gdzie willa p. Gabzewiczowej była położona  
Pani Gabzewiczowa wieniała o mnie, ale - choć antypatyczna i mało  
warta - dobrze opłacana, nic nie mówiła. Nesza Willi zajęta przez  
oficerów sowieckich, dziwnie jakoś nie słyszała moich aparatów radio-  
wych. Nigdy na słuchawki nie słuchałem. W czasie, gdy czekałem na wy-  
kończenie skrytki, chyba w marcu 1945 r. do mojej skrytki przysłał  
dwaj panowie, by mi powiedzieli, że jestem przedstawiona do Virtuti. Pa-  
ruzyłem się szalenie, ale uważałem, że na coś aż takiego, nie zasłu-  
żyłem.

Pisałem na wstępie, że w pamięci mojej wyryły się specjalnie te  
rzeczy, które intensywnie przeżyłem. Odtąd do takich momentów chcę  
powrócić, choć nie są one z B.I.P.-em związane, ale w czasie mej pracy  
w B.I.P. miały miejsce.  
Pierwsze to było 17 września 1943 r., kiedy rozstrzelany został przez  
Niemców, a właściwie przez Litwinów, wraz z grupą innych Rogu ducha  
winnych ludzi, w odwecie za zabicie Podobry (nie pamiętam kim on był),  
profesor Kazimierz Peiczar. Z jednej strony była to strata ogromna,  
dla nauki, z drugiej zginął wspaniały Polak-patriota nieustraszonego,  
dla Polaków (nie mylić z tego, przyjaciel. Jako prezes Komitetu Pomocy  
którego prezesura dzieliłi dr. Petruszewiczowa i prezes Zagórski), tu  
chodziło o miejscową ludność polską; otrzymywał z prowadzonego przez  
mnie Polish Relief Fundu (Pomoc angielska dla Polaków - całe okryty  
z odzieżą ukrywaną (i nawet częściowo nową) odzież, a w razie potrze-  
by dla poszczególnych osób specjalnie zagrożonych itd. Działając po-  
moc (między innymi obwarze w banku). Znalazłem się jeszcze z osasów),  
kiedy pracowałem w Kownie w Litewskim Czerwonym Krzyżu przy Jędrze-  
Winnie od chwili kiedy to 15 marca 1940 r. zostałem przedstawicielką  
Polish Relief Fundu i zorganizowałem ten aktywny itd. oraz przydziale-  
żam Komitetem odzież, współpracowałem z profesorem Stale. Poza ofic-  
jalnym zajęciem prowadziłem razem komórkę opieki nad tymi, którzy  
uciekli z wizji, czy obozów, lub z pracy (z Prus np.), której pier-  
szym ogniwem były moje składy. Dopiero po ubraniu tych ludzi i stosow-  
karki tych ludzi do Komitetu profesora Peiczara, gdzie się nimi daleko  
gniekowano. Na tym tle poznaliśmy się bliżej i zaprzyjaźniliśmy osobliwie  
Smierd jego, tak tragicznie, była i dla mnie więc osobistym ciężkim cież-  
sem. Pracowałem wtedy na Komitetu...



Drugim takim ciężkim przeżyciem było aresztowanie komendanta i szdrada sowieckawo-góle. Potem przyszło aresztowanie całej rodziny dr. Dobrzańskiego i matka tego człowieka, któremu sowieci zapowiedzieli, że jeżeli się im odda, to rodzinę jego wypuszczą. On tego jednak zrobić nie mógł i to było straszne. Ten wspaniały człowiek chodził szary na twarzy, skłaniał się do bólu. Udało mu się wystać z p. Olgą, jego sekretarką, należąca przez granicę do Częstochowy, do rodziców synowej doktora pp Czerwinskiach, Biedna p. Ola, gdy wracała, została zaraz aresztowana. Potem zupełnie przypadkowo, aresztowano na wiosnę 1944 r. dr. Dobrzańskiego, gdy bronił jakiejś napadnętej kobiety. Rozpoznany (poszukiwano go dawno z fotografią) został i naturalnie przeszedł okrapne badania i następnie obozy.

Fakty te są dobrze znane, jak i przebieg pobytu doktora w Warkucie i potem nad Bajkałem, piszę jednak o tym, bo areszt doktora i wszystkie co go spotkało, jak i jego rodzina, było dla nas, jego przyjaciół, niezmiernie bolesne. Trzeba było dalej pracować, ale praca była już potem ciężka. Wszystko zdawało się kruszyć i rozpadać w co wierzyliśmy i o czym marzyliśmy, choćby za cenę własnego życia.

Jeszcze chciałabym wrócić do b. ciężkiego okresu, a nie wydarzenia, które przeżyłam b. boleśnie. Chodzi tu o powstanie warszawskie. Od pierwszej chwili bałam się, że powstanie zostanie zdławione po tygodniu, co spotkało nasze i lwowskie AK, nie miałam złudzeń, że pomocy sowieci nam nie okażą, odwrotnie pomaga Niemcom w wyniszczeniu Warszawy i Polaków walczących. P. Sadowska nie chciała w to wierzyć i pełna ufności była, że Warszawa się obroni i uratują Polscy przed jej zawiadnięciem przez sowieci. Zapalałam, Blyskawicę, póki nadawała, zapalałam tragiczne audycje BBC, zazwyczaj się zawsze od "z dymem rożarów" i obraz książki nabierał coraz wyraźniejszych kształtów. Niekonieć i p. Marysia Sadowska doszła do przekonania, że niestety, miślam właściwie przeznaczenie i obliczenia straciłam spokój i sen. Pisałam nadal moje biuletynki, następane ze wszystkich stron, ale już nie mogłam tak pracować jak dawniej. Straciłam wiarę w jej celowość. Historia toczyła się pozamami i nad naszymi głowami. Pamiętam też, jak poszliśmy do kina na "Ułatt". Mój Boże cóż to była za ciężka chwila! Rozpacz niemości naszej i fakt, że siła przed prawem jest jeszcze.

Jeszcze jedna chwila wrzyta się mi tak bardzo w pamięć, to było 8 maja 1945 r. W radiu wszystkie narody nadawały najradośniejsze, najszczęśliwsze dane o końcu wojny. Ja siedziałam na Holenderski w mojej piwnicy i słuchając tych okrzyków, śpiewów itd., płakałam. Wydawało mi się, że to nad naszą trumną, której wieko się zamyka, ludzie całego świata się radują! Czarna przepaść zdawała się otwierać przed Polską. Za okienkiem zaś mojej drugiej, przyległej do pracowni mojej piwniczki, słyszałam i widziałam enkawidzystów krążących koło domu. Podobno mnie czy p. Sadowską szukali. Nie wszeli jednak, a chwile te, jak tyle innych się jakoś przeżył i - choć wszystko wyszło inaczej - i choć inna jest ta nasza rzeczywistość, muszę powiedzieć, że widzę i cieszę się z tego co teraz dla Polski jest dobre. Warszawa stoi odbudowana, i nie bierę i zakładów przemysłowych powstało, ile bogactw w kraju odkryto, miast i osiedli w miastach i po wsiach zbudowano! Nie dobre jednak jest to co ludzi u nas psuje: korupcja straszna, cwaniactwo, inoownictwo, zanik zdrowej moralności, poza tym (co najważniejsze), że nie jesteśmy wolni. Rządzą nami sowieci, których kolonią w pewnym stopniu jesteśmy. Czy zawsze?

Zofia Komorowska - Majewska

Przypisy redakcyjne

1. WAKOMSKI Michał "Piotr"

W szkąd "Legalizacji" wchodzili, po jej ostatecznym ukształtowaniu, 4 działali:

- wywiad legalizacyjny
- "Prelnia"
- "Kuchnia" /pracownia cyklograficzna i fotograficzna oraz zespół grafika/
- "Gospoda", wykonująca konkretne zamówienia przy użyciu formularzy, pieczęci itp. przygotowanych przez "Kuchnię"

Po aresztowaniu Stanisława Kiałki, kierującego pracami "Legalizacji", jej szefem został "Hilary" a jego z-ca "Piotr" /praca maisterska absolwenta Uniw. Warszaw. Żurawskiego, napisana na Wydz. Prawa - s. 63/

2. WAKOMSKI Roman /wg dokument. NKGB - Romuald/ ps. "Hilary".

3. MAREBURG Hania /Hanna?/ przed wyjazdem do sanatorium w Zakopenem studiowała w Uniwersytecie Toruńskim.

4. Kolonia Magistracka - podobnie, jak ul. Ogińskiego - znajdowała się za Antokołem, na Pospieszce.

5. Prawidłowo: Markowa

6. Banknot o wysokim nominale - w litach

7. Informacje dotyczą Bronisława M. K. Komorowskiego. Podobnie, jak prof. Zygmunt Komorowski - Kor., był on synem Juliusza Komorowskiego, brata Z. Komorowskiej-Majewskiej.

Wbrew przytoczonym informacjom "Elizy" został on rozstrzelany w Ponarach, w styczniu 1944r. H. Pasienbska: Ponary-wileńska golgota, Sopot 1993 druk "Art. Action", s. 195-196 /zyciorys i fotografia, s. 300 i 353/wykaz rozstrzelanych/

8. Informacje nieścisłe. Kolejne aresztowania członków ZWP, do którego należał m. in. Bronisław Komorowski "Korsarz", następowały w wyniku denuncjacji konfidenta NKWD, Jerzego Orłowskiego, członka ZWP. /Ponary-wil. golgota s. 64, 65/. Redakcja nie posiada informacji o roli, jaką odgrywał wg "Elizy" eksdezerter NN.







J. 3742 / USK

AK  
Ukraino

KOMOROWSKA - MAJEWSKA Zofia  
ps. „Eliza”

Wypisy ze źródeł  
✓ Nazwiskowe karty informacyjne: 1



i

J. 3782/4SK

AK  
LIMO

KOMOROWSKA - MAJEWSKA Zofia  
ps. „Eliza”

1939

zr. Relacje

1945



o. Rjes 2014



KOMOROWSKA - MAJEWSKA 2012

